

IRENA MAŁYSA

MOSTY NA WIŚLE

NOWA POWIEŚĆ
AUTORKI BABIOGÓRSKIEJ
SERII KRYMINALNEJ Z BAŚKĄ ZAJDĄ



IRENA MAŁYSA

MOSTY NA WIŚLE



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania, Ida Świerkocka

Korekta: Katarzyna Kusojć

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce: Julian Fałat, *Widok Krakowa* / dzieło pochodzi ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach, fot. Rafał Wyrwich, zbiory.muzeumslaskie.pl;

Andrea Solario, *Madonna z zieloną poduszką* / commons.wikimedia.org;

Kraków. *Zamek Królewski na Wawelu* (autor nieznany) / fotografia pochodzi ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego, audiovis.nac.gov.pl



DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Irena Małysa

Copyright © 2024, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-390-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



ROZDZIAŁ 1

15 maja 1993, Kraków, ul. Dietla

Walenty Cichocki starał się rozluźnić. W jego głowie wciąż wybuchały jednak nerwowe wyładowania, które można by porównać ze zjawiskiem elektrostatycznym.

– Panie Walenty. – Terapeuta Rafał Kossowski spróbował przyciągnąć jego uwagę. – Czy wszystko w porządku? Chce pan kontynuować sesję?

Cichocki zamrugął i rozejrzał się niepewnie po gabinecie.

– Tak – odpowiedział słabo. – Tylko następnym razem wolałbym, żeby pan tu trochę uprzątnął.

– To znaczy? – zapytał terapeuta, spoglądając na niego znad okularów.

– Te rośliny na parapetach bardzo mnie stresują.

Terapeuta obrócił się do tyłu i spojrzał w stronę okna.

– Przecież dwa tygodnie temu także tu stały.

– Tak, ale wtedy nie kwitły, a teraz mają kwiaty. – Ostatnie słowo pacjent wypowiedział z dziwnym lękiem. – Przecież mówiłem panu, że mam antofobię.

Kossowski poprawił się na skórzanym fotelu i Walentemu wydawało się, że terapeuta poczuł się nieco urażony.

– Mówił pan o wielu swoich fobiach, ale do lęku przed kwiatami jeszcze nie doszliśmy. Obiecuję jednak, że za dwa tygodnie wyniosę rośliny z gabinetu.

– Dziękuję.

– Wróćmy jednak do naszej rozmowy. A więc uważa pan, że ostatnio jest źle, cierpi pan na bezsenność, ale jednak podejmuje próby, żeby nawiązywać relacje z innymi ludźmi.

Walenty spróbował skupić wzrok na swoich dłoniach, aby nie patrzeć na kwiaty, a także na twarz terapeuty, którego skrzywione okulary doprowadzały go do szału.

– Tak. Jak pan zalecił, tak zrobiłem. Zapisalem się miesiąc temu do Klubu Historycznego, żeby się „uspołecznić”, jak pan to wtedy nazwał.

– I jak się pan tam czuje?

Naprawdę chciał powiedzieć coś pozytywnego, dać Kossowskiemu choć cień satysfakcji z jego pracy. Sam wiedział, jakie to ważne. Nie mógł go jednak okłamywać. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie na tym polega skuteczna terapia.

– Szczerze mówiąc, to dla mnie męka. W mieszkaniu na Wiślniej, gdzie odbywają się spotkania, śmierdzi niemiłosierdzie. W dodatku prawie wszyscy noszą brody i mają jakieś żółte zacieki pod nosem...

Cichocki zamilkł, patrząc na przejętego Kossowskiego, który złapał się za własną brodę, zerkając w bok, w stronę lustra zawieszonego na ścianie.

– Przepraszam, nie pomyślałem... Jest mi głupio – próbowałem się tłumaczyć.

Terapeuta machnął ręką.

– Kontynuujmy. To nieważne. Tu nie chodzi o mnie.

– Zmuszam się jednak do uczestnictwa w tych spotkaniach. Właśnie zaraz mam kolejne. – Walenty przełknął ślinę.

– Cieszę się, proszę się nie poddawać. To bardzo ważne, żeby miał pan jakąś pasję. Skoro interesują pana dzieła sztuki, może to właśnie to.

– Może...

– A jak idzie panu w pracy? Jak wyglądają sprawy na komendzie?

– W pracy różnie. Trzymam się raczej na uboczu.

Gdy Cichocki wychodził z gabinetu, odetchnął z ulgą. Stał w progu i zerknął na zegarek. Brakowało dwóch minut do szesnastej. Cofnął się w głąb i postanowił zaczekać. Zawsze wychodził o pełnych godzinach, w najgorszym wypadku wpół do. Rozglądał się z niesmakiem po obskurnej klatce kamienicy na Dietla. Kochał Kraków za wiele rzeczy, ale nienawidził go za smród mrocznych zaułków, gołębi i bezdomnych. Gdy górna wskazówka znalazła się na szczycie tarczy jego zegarka, wyszedł, przeskakując próg. Uważał, że stawanie na nim przynosi pecha. Skręcił w ulicę Stradom, przemykając jak najszybciej przez podcień budynku na rogu. Miejsce to napawało go zawsze obrzydzeniem, a na samą myśl o pijaczkach załatwiających tu swoje potrzeby podczas nocnych powrotów z libacji robiło mu się słabo.

Później brnął dalej w majowy Kraków, mijając tłumy rozochoconych pogodą mieszkańców ciągnących w stronę Rynku Głównego. Cieszył się, że nie będzie zmuszony iść przez Planty, które wybuchły zapachem kwitnących kwiatów. Był tam wczoraj i musiał uciekać. Przejście przez plac

Wszystkich Świętych zajęło mu chwilę, musiał bowiem poczekać na przejazd tramwaju z numerem nieparzystym, bo tylko po takich przechodził przez ulicę. Wreszcie przejechała trzynastka. Tu znów pojawił się dylemat, bo choć liczb parzystych unikał jak ognia, to trzynastka miała specjalne miejsce w piekle jego umysłu. Czekał więc kolejne pięć minut, aż przejechał tramwaj numer jeden. W kilka chwil znalazł się na Wiślniej.

Zatrzymał się przed kamienicą, wyciągnął z torby flakonik wody po goleniu Wars i wylał odrobinę na bawełnianą chusteczkę. To miał być jego oręż w walce ze smrodem. Wbiegł po schodach, delektując się zapachem, który rozgościł się w jego nozdrzach, tłumiąc odór kamienicy. Członkowie klubu dopiero się zbierali. Nagle wyczuł jakąś inną, zupełnie nową dla tego miejsca woń. Zbliżył się do stojącego obok Karola Dębskiego, przewodniczącego klubu, i upewnił się, że ten cudowny zapach z pewnością nie pochodzi od niego.

– Jaki piękny jest teraz Kraków – odezwał się do niego Karol z charakterystyczną dla siebie egzaltacją. – Widziałeś, ile kwiatów na Plantach?

Walenty skrzywił usta w coś na kształt niezdarnego uśmiechu.

– Tak, wczoraj, ale mam alergię i unikam pyłków roślin.

Weszli do głównego pomieszczenia, w którym na zielonych kanapach siedzieli członkowie klubu. Walentego zaintrygowała nowa twarz, a zwłaszcza aromat nieznanych perfum dobiegający właśnie z tamtej strony. Karol jakby zauważył zainteresowanie Walentego i odezwał się głośno, przyciągając uwagę innych.

– Przedstawiam wam Gabriela, nowego członka naszego klubu. Powitajcie go, proszę, brawami.

Cichocki stał trochę oszołomiony. Nie znosił tej napompowanej atmosfery. Gabriel sprawiał jednak sympatyczne wrażenie – może głównie dlatego, że w przeciwieństwie do pozostałych nie nosił brody i miał na sobie schludną koszulę. Walenty podszedł do niego i przywitał się bez podawania ręki. Nigdy nie dotykał innych. Usiadł obok na kanapie. Przyjemny zapach dochodzący od sąsiada wprowił go w lepszy nastrój.

– Jakie to perfumy? – zapytał w końcu.

Gabriel uśmiechnął się rozbrajająco. Jego zęby nie były pożółkłe, jak to bywało zazwyczaj u mężczyzn w jego wieku.

– Nic specjalnego, Coty Aspen. A ty czego używasz?

Cichocki zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni chusteczkę skropioną wodą po goleniu.

– Warsa. Jestem przyzwyczajony do tego zapachu – wytłumaczył.

Jego rozmówca pokiwał głową ze zrozumieniem i miał zamiar coś dodać, ale przerwał mu Karol Dębski, który oficjalnie rozpoczął spotkanie Klubu Historycznego.

– Koledzy, dziś jako pierwszy przedstawię postępy, jakie poczyniłem w poszukiwaniach dotyczących obrazu zrabowanego w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, *Matka Boska Bolesna „Dolorosa”*...

Walenty zamknął oczy, starając się nie wsłuchiwać w jego irytujący głos, ale w treść wypowiedzi. Owa treść była dla niego szalenie interesująca. Dębski niczym rasowy śledczy tropił miejsca, gdzie mógł się znajdować zrabowany przez Niemców obraz. Był dokładny i skrupulatny, a właśnie to

Cichocki cenił w ludziach najbardziej. Sam uwielbiał zagadki i tajemnice.

Po wystąpieniu Karola dwóch kolejnych członków klubu pochwaliło się swoimi odkryciami, niestety nie w tak interesujący sposób jak przedmówca. Roman Misiewicz, potężny facet z rudym kucykiem, opowiedział o postępach w badaniu srebrnego kielicha, który przekazała im pewna starsza mieszkanka Krakowa. Kielich najprawdopodobniej pochodził z siedemnastego wieku. Rudy prosił o decyzję zarządu klubu, czy znajdą się pieniądze na wycenę. Zarząd się zgodził.

Potem rozlano brandy. Walenty unikał alkoholu. I tym razem się wzbraniał, ale kieliszek podał mu Gabriel.

– Waluś, napijemy się?

Zdrobnienie, jakiego użył nowo poznany mężczyzna, dotknęło w Cichockim jakiejś miękkiej części, ukrytej zwykle pod zasiekami fobii i lęków.

– Zdrowie – odpowiedział, odbierając od niego kieliszek.

Przez kolejną godzinę pochłaniała go rozmowa z Gabrielem, którego wiedza na temat dzieł zrabowanych podczas drugiej wojny światowej okazała się imponująca. Opowiadał o tym z taką pasją, że Walenty, słuchając go, zapomniał o brzydkim zapachu i niehigienicznych brodach. Poczuł się dobrze i bezpiecznie. Sięgnął po kolejną brandy, a później trzecią.

Gdy jeden z klubowiczów zaproponował, by poszli na derby, wstał i co było zupełnie do niego niepodobne, razem z pozostałymi zaczął krzyżeć: „Derby, derby!”. Przecież nie nawiądył meczów, kibiców, bójek i wrzasków.

Gabriel pociągnął go za sobą. Walenty zastanawiał się, komu będą kibicować: Cracovii czy Wiśle? Odwieczny

krakowski dylemat. W końcu ruszyli przez Planty w stronę Krupniczej, a później na Reymonta. Szli w tłumie kibiców, a wypity alkohol stopniowo wyparowywał z głowy Cichockiego. Ze swoją niemodną fryzurą, w marynarce i eleganckich trzewikach czuł się zupełnie nie na miejscu. „Co ja tu robię?“, zastanawiał się z rosnącym przerażeniem, patrząc na kibiców Cracovii unoszących wysoko szaliki. Mijali szpaler policyjnych nysek. Od strony Błoni słyszał nadciągających kibiców Wisły. Rozejrzał się po kolegach z klubu, jeszcze chwilę temu rozprawiających o dziełach sztuki i sączących brandy. Teraz wpasowali się w tłum. Czuł, jak wszystkie jego fobie łapią go za gardło. Chwycił się za szyję, wyczuwając pulsującą tętnicę.

– Komu kibicujemy? – zapytał Gabriela, przekrzykując hałas.

– Dzisiaj Wiśle! – odpowiedział tamten, krzycząc mu prosto do ucha.

Tłum tworzyli – oprócz zagorzałych kibiców, którzy z wiary w barwy klubowe zrobili religię – zwykli ojcowie z synami i koledzy z pracy. A także oni – członkowie Klubu Historycznego.

Cichocki miał wrażenie, że cały Kraków wstrzymał oddech. Zaczynały się derby.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova